

wyeliminował swój błąd, jakim było rozumienie istnienia w sensie absolutnym. Uważając *logos* za niedoskonały, traktując zasady, ustalenia, logikę jako nieprzydatne, popełniają, moim zdaniem, podobny błąd — również wewnątrz tego samego *logosu*. To nie *logos* jest niedoskonały, lecz nasze wewnątrz niego myślenie. Przy czym nie chodzi tu o *logos* w rozumieniu wąskim, instrumentalnym, lecz o *logos* maksymalnie zróżnicowany, stanowiący zarówno materiał, jak i narzędzie dla twórczości.

W pełni zgadzam się z prof. Morawskim, kiedy namawia do „gruntownego przemyślenia dziedzictwa oświeceniowego (wyzbywszy się pychy Rozumu wszechwiedzącego, mającego nas wyswobodzić od wszelkiego zła)”.

Odnoszę wrażenie, że autor, precyzując swoje poglądy na filozofowanie i współczesną rzeczywistość, stara się stworzyć pewien w miarę trwały grunt w momencie, kiedy rozchwanie jest już zbyt uciążliwe, a nawet staje się niebezpieczne. Sam również należę do tych, którzy w obecnej sytuacji czują się źle i również na swój sposób staram się ją przekroczyć. W swoim malarstwie próbuję mówić o konieczności stworzenia warunków dla — powiedziałbym — duchowości wzniosłej i głębokiej, nie przez negację istniejącej rzeczywistości, lecz przez skoncentrowanie się na trudnym i długotrwałym procesie jej budowania. Myśl jest tu podstawowym narzędziem i materiałem, również dla budowania emocji i przeżyć, zakładając, że jest to myślenie posiadające samoświadomość, czyli zdające sobie sprawę ze swojej roli w rzeczywistości.

Krzysztof Okopień

Czy refleksja przeszkadza we wszystkim?

Mam oto przeczytać książkę Profesora Morawskiego o postmodernizmie i zabrać głos w jej sprawie. Ta całkiem elementarna powinność — wynikająca z elementarnego uczestnictwa we wspólnocie życia akademickiego — przy bliższym wejrzeniu okazuje się pułapką, która paraliżuje moje zamierzenia, tak iż zanim zdążą się skryształizować i przybrać określoną postać, zostają uwikłane w splot nie do rozplątania, w którym sam nie mogę ich rozpoznać.

Cóż się bowiem dzieje? Powinienem oto przeczytać książkę Profesora Morawskiego o postmodernizmie — wszelako powinność ta nie rozciąga się na postmodernistycznych filozofów, o których książka traktuje. Tych właśnie czytać — jak sądzę — nie należy. Nie dlatego, żeby tworzyli jakąś obcą mi formację czy orientację filozoficzną. Są mi przecież wystarczająco bliscy, żeby wpoić we mnie — wprowadzić nie drogą czytania, ale pierwotniejszej niż czytanie osmozy — przekonanie, iż czytać ich właśnie nie należy. Z drugiej strony, są mi równie dalecy, jak chmury na niebie, chmury, które na niebie piszą się nie

po to przecież, aby je czytać, gdyż nie ma w nich apelu o rozumiejący do nich stosunek, nie ma w nich apelu, którego niepodjęcie pozostawiałoby mnie w stanie moralnego dyskomfortu i nieukontentowania.

Otóż postmodernizm, pozostawiając ślady na papierze, wyzwala nasz stosunek do pisania. Ale koszt tego wyzwolenia, czy może zysk z tego wyzwolenia, w każdym razie: druga jego strona, polega na wyzwoleniu naszego stosunku do czytania. Jeśli w pisaniu nie idzie ani o prawdę, ani o oryginalność, jeśli więc nie idzie o ducha czy to ogólnego, czy to jednostkowego, który nawarstwiałyby się nad materialnością pisma, bądź ukrywałby się pod jego powłoką — to z powierzchni rozplenającego się intertekstu nie dobiega żaden apel o czytające rozumienie, o rozumienie, w którym to, co napisane, odnaleźć by mogło rację swego istnienia.

Ileż cierpień przysparzał mi duch, który — przemawiając do samego siebie — czynił mnie swoim medium. Jakże cierpiałem nad każdym niezrozumiałym zdaniem *Fenomenologii ducha*. I jakimż wyzwoleniem okazuje się postmodernistyczne pisanie, które — jeśli już domaga się czegoś, to na pewno nie rozumiejącego czytania, a co najwyżej dalszego pisania, pisania, które istnieje i ma się dobrze w tej mierze, w jakiej zacierą swe źródło i swe przeznaczenie, swą motywację i swe przesłanie, swój przedmiot, swój podmiot i swego adresata, a więc swoje „skąd”, „dokąd”, „dlaczego”, „po co”, „o czym”, „od kogo” i „komu”.

Tak oto znalazłem się niebezpiecznie blisko supozycji, której muszę natychmiast z całą mocą zaprzeczyć. Otóż książka Profesora Morawskiego nie mieści się w nurcie postmodernistycznego pisania, które rozgałęzia się w dalsze pisanie. A to z uwagi na osobę autora, której osobowa obecność w tekście książki konstituuje ten rodzaj sensu, który z postmodernizmem nie ma nic wspólnego. Wszelako iżby ten sens i tę obecność rozpoznać, rozpoznać trzeba nie Morawskiego-autora, ale tę jego rolę, która rolę autora o krok wyprzedza i która jest rolą czytelnika, więcej: słuchacza.

Otóż Profesor Morawski słucha postmodernistów i to słucha wbrew ich własnej naturze, która słuchania nie wymaga i nie potrzebuje. Słucha ich wbrew nim, ale przecież słucha ich właśnie, a nie samego siebie — oto pierwszy paradoks. Paradoks drugi polega zaś na tym, że aby oddać sprawiedliwość tej książce i osobie jej autora należałoby — o ile to możliwe — słuchać samego słuchania, rozumieć samo rozumienie. Czyż jednak da się zrozumieć tego, kto rozumie, i wysłuchać tego, kto słucha — skoro jedynie możliwe słuchanie słuchania polega na nie-słuchaniu właśnie, tj. na mówieniu przez słuchanie drugiego umotywowanym?

Dlatego tak trudno oddać sprawiedliwość temu, co konstituuje Morawskiego-filozofa, a mianowicie owej zupełnie unikalnej i niewymiernej (gdyż miarą jej nie jest sam tylko ogrom przeczytanych i cytowanych książek) ciekawości intelektualnej, ciekawości nie-do-wyczerpania, której moc potwierdza ważność innego — antypostmodernistycznego — modelu filozofowania: takiego, gdzie

słowa stanowią zapośredniczenie, a celem pozostaje nadawczo-odbiorcza wspólnota skupiona wokół tego, o co warto pytać.

Lecz jeśli Profesor Morawski zajmuje w rankingu filozofów, którym pragnęłoby się coś powiedzieć, jedno z pierwszych miejsc — to nie dlatego, że eksplikuje model filozofii jako porozumiewania się. I *vice versa*: taki, na przykład, filozof, jak Roman Ingarden, dla którego porozumienie stanowi jasno określony cel filozofowania, zająłby w tym rankingu miejsce bliskie końca (choć — nie da się ukryć — im bliżej końca, tym większy tłok tam panuje).

Ale właśnie dlatego Ingardena mogę czytać spokojnie, natomiast Morawskiemu pragnąłbym przekazać swoją niezgodę. Niezgoda ta tym głębsza się staje, im bliższy jest mi pogląd, którego dotyczy. Najbliższy mi z poglądów formułowanych *explicite* w książce głosi wartość filozofowania jako refleksji. A przecież z poglądem tym nie mogę się zgodzić ani w odniesieniu do tego, co robią postmoderniści, ani do tego, co robi Morawski — ich czytelnik i słuchacz, ani do tego, co robi Morawski — autor książki na ich temat. Albowiem refleksja nie sprzyja wcale ani pisaniu, ani słuchaniu. W słuchaniu refleksja przeszkadza — gdyż czyni mnie natychmiast mądrzejszym od tego, kogo mam wysłuchać. W pisaniu przeszkadza jeszcze bardziej — gdyż czyni mnie mądrzejszym od siebie samego, ściślej: mnie, który nie pisze, czyni mądrzejszym ode mnie, który pisze (a raczej który pisałby, gdyby nie czuł się mądrzejszy jako nie-piszący). Najbardziej zaś przeszkadza refleksja w słuchaniu i pisaniu zarazem, gdyż pokazuje widomie, że jedno drugie wyklucza, że więc to, co robi Profesor Morawski, jest po prostu niemożliwe.

Jeśli wszakże refleksja przeszkadza we wszystkim, to dlaczego pogląd o wartości refleksji jest mi tak bliski? Czyż nie dlatego, że próbuję uczynić wartość z trudności, których doświadczam: zarówno z trudności słuchania, jak i z trudności pisania (nie wspominając już szerzej o piszącym słuchaniu czy słuchającym pisaniu)?

Dokumentem tych trudności jest próba niniejsza: ledwo-co-pisząca, mało-co-pisząca i za nic mająca powinności recenzenckie. Toteż przynależność gatunkową tej próby najlepiej oddaje formuła: kawałek refleksji. Natomiast jej aspekt pragmatyczny określa osoba adresata: Profesora Morawskiego — któremu kawałek ten dedykuję z wdzięcznością.